

Jasne strony dziejów

Powściągliwy jak „Londyńczyk”

Mieroszewski, choć schorowany, jako socjalista nie chciał się leczyć prywatnie za pieniądze chcących mu pomóc przyjaciół.

BRZEZIECKI

„Nawet ja wiem to tylko z obserwacji, bo on się nie skarży...” – tak żona Juliusza Mieroszewskiego, Inka, pisała do Jerzego Giedroycia w wysłanym bez wiedzy męża liście. Chciała przekonać Redaktora, by spróbował załagodzić konflikt, jaki powstał na linii Maison-Laffitte – Mieroszewski. Nieporozumień nagromadziło się sporo. Giedroyc, uparty i oschły, miał ciągle pretensje, że Mieroszewski nie wywiązuje się z innych poza pisaniem zadań, którymi został obarczony. Inka pisała: „Pan nawet nie wie, bo od kogo ma wiedzieć, jak bardzo go upośledza ta połowiczna ślepotą. Jak dodaje do jego codziennego wysiłku takich drobnych, nużących utrapień – jak to, że zapalka nie trafia do fajki, a pióro na swoje miejsce, że po paru godzinach czytania nie może automatycznie znaleźć następnej linijki w tekście, że herbata z czajnika wylewa się poza filiżankę itp., itd.”. Kiedyś, przed wojną, stać go było na najlepsze garnitury, w Londynie chodził w dziurawych butach.

Giedroyc nie wiedział o tym wszystkim, bo Mieroszewskiemu nigdy nie przyszło do głowy, by rozczulać się nad sobą, by upubliczniać swe nieszczęścia, by pisać, jaką cenę płaci za pracę dla redakcji „Kultury”. Był wtedy, w latach 60. XX w., człowiekiem schorowanym, po przebytej gruźlicy, o słabym sercu, niedowidzącym. Przed wojną był redaktorem potężnego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”. Stać go było na dobre życie. Upadek II RP, wojenna poniewierka i powojenne ubóstwo nie złamały go. Odmawiał wszelkiego wsparcia. Jako socjalista nie chciał się leczyć prywatnie za pieniądze bogatszych przyjaciół.

Ślepl – bywało, że za sukces uznawał, gdy mógł przeczytać początek wyrazu, a resztę sobie dopowiedzieć. Ironizował wtedy, że trudno takie czytanie uznać za przyjemność.

Gdy do wszystkich nieszczęść w 1974 r. doszedł rak, zapewniał Giedroycia, że walczy ze znużeniem, starością i ślepotą, ale na pewno nie ma depresji. Ważył 55 kg, nie był już wtedy w stanie czytać, swą wiedzę czerpał z radia zakupionego przez „Kulturę”, zapewne pod wpływem listu Inki. Potem „Kultura” kupiła dla swego najlepszego politycznego publicysty także dyktafon, by mógł dyktować swe teksty, gdy nie był już w stanie pisać.

W świetnej książce o Giedroyciu i całym środowisku „Kultury” Magdalena Grochowska opisu-

je zmagania Mieroszewskiego z fizyczną słabością (M. Grochowska „Jerzy Giedroyc. Do Polski ze snu”, Warszawa 2009). Nawet gdy jego niedomagania nie były już dla Giedroycia tajemnicą, Mieroszewski pisał o nich bardzo powściągliwie. Choć pisanie dla „Kultury” było dla niego sensem życia, w listach do Giedroycia był zawsze rzeczowy i konkretny. Żadnego ckliwego sentymentalizmu.

Właśnie w tym najtrudniejszym okresie, niemal chwilę przed śmiercią, „Londyńczyk” na łamach „Kultury” zaprojektował polską politykę wschodnią określaną jako doktryna ULB – od Ukrainy, Litwy i Białorusi – czyli wspieranie niepodległości tych krajów tworzących zaporę dla rosyjskiego imperializmu. Zakładała ona też ułożenie sobie przyjaznych relacji z sąsiadami.

Na tę doktrynę, już po 1989 r., powoływali się w Polsce wszyscy święci: prezydenci, premierzy, szefowie dyplomacji, publicyści. Nie powstała ona w eleganckim gabinecie pełnym książek, solidnych mebli, dywanów na podłodze i obrazów na ścianach. Powstała w skromnym mieszkanku w londyńskiej dzielnicy Chiswick.

Ważył 55 kg, ślepl, nie był już w stanie czytać, wiedzę czerpał z radia zakupionego mu przez „Kulturę”, która kupiła swemu najlepszemu publicyście politycznemu także dyktafon, by mógł dyktować teksty, gdy nie był już w stanie pisać

„Kulturę” tworzyli rozbitkowie dawnego świata. Potracili domy, majątki, kariery i przede wszystkim bliskich – słowem: wszystko. Było to pokolenie Polaków, którzy powaleni na ziemię wstawali, otrzępywali kurz z ramion i maszerowali dalej. Za wierność swym wartościom płacili ogromne ceny. Sam Mieroszewski spokojnie, jako ekonomista, mógłby się jakoś w Wielkiej Brytanii urządzić w sektorze bankowym. A jednak imał się najpierw różnych prac fizycznych, by potem żyć z pisania dla „Kultury”. A przecież Giedroyc nie mógł płacić mu kroci. Gdy raz powziął taką decyzję, nie narzekał, nie marudził, nie rozczulał się nad sobą. „Bo on się nie skarży”. ●

Andrzej Brzeziecki
– historyk,
dziennikarz,
publicysta